

ZA i PRZECIW
WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 4

wydanie

Nr 2 1 z dn. 2 3 -05- 1971

„BENIOWSKI” — POEMAT CZY DRAMAT?

„Beniowski” na scenie Teatru Narodowego zmierza do osiągnięcia pełnego, interesującego odpowiednika teatralnego kapryśnej, a przecież konsekwentnej struktury poematu: rozwijającego się bardziej od dygresji do dygresji, niż od wydarzenia do wydarzenia. Warstwę fabularną zawarł Adam Hanuszkiewicz w pierwszej części spektaklu, wynoszącej w tytule imię bohatera — „Maurycy”, zaś w części drugiej — „Dom na Podolu” — zbudował teatralny system dygresji, wykrzystując inne teksty Słowackiego. Oczywiście, w części pierwszej bohater poematu pozostaje we władaniu narratora, który na scenie gospodarzy z podwójnym wdziękiem — Słowackiego i Hanuszkiewicza. Pobłażliwość wobec bohatera, nieco kpiący ton nasycone są sympatią, uznaniem, a nawet lekką nutką zazdrości, która musiała nieraz dotykać schorowanego poety, gdy kreślił obraz niczym nie pohamowanej werwy, a nie można też wykluczyć z góry elementu samoudręczenia intelektualisty, ulegającego presji oczarowania naiwnością młodego szalawili.

Beniowski mógł być postacią zakrojoną na miarę Fausta, gdy jednak demiurg zabierał się do zrealizowania tej miary, historia uderzyła go po palcach; nasz bohater pozostał więc takim, jak go Słowacki, a za nim Hanuszkiewicz prezentuje: o sercu prawym, krwi wartkiej, spojrzeniu szczerym, często bezradnym. Doskonale zarysował taką sylwetkę Daniel Olbrychski, bystrzejsze oko dostrzeże przy tym bogactwo kreacji; w jaką przemienia się ta z pozoru skromna rola: Olbrychski bywa potulnym wcieleniem dyrektyw narratora, wówczas traktujemy postać z rozrzewnieniem, od czasu do czasu daje znać, że i on uczestniczy w

Daniel Olbrychski
(Beniowski) i
Mariusz Dmochowski
(ksiądz Marek)
Fot. F. Myszkowski



świetnej zabawie teatralnej, której najbardziej widowym znakiem są znakomicie rozegrane w konwencji buffo pojedynki, a wreszcie wzrusza, kiedy składa wyznania miłosne, czy kiedy otwiera część drugą spektaklu wspaniałym monologiem, w jaki przemieniają się oktawy poematu. Odtąd będzie już niemy świadkiem historii, jest to Beniowski, który przeszedł przez doświadczenie Hamleta. Żar poezji przebija też z epizodu części drugiej — w lamencie Matki Boskiej Począjowskiej, który Zofia Kucówna podaje z cudownym, zgrzebnym uproszczeniem, odkrywając nową melodię wiersza Słowackiego. Urodę nader dowcipnej inscenizacji podnosi scenografia Mariana Kołodzieja — pomysłowa i prosta. To samo rzeź trzeba o muzyce Andrzeja Kurylewicza.

Spektakl skrzy się przednim humorem, obfituje w aluzje do wcześniejszych inscenizacji Hanuszkiewicza, na podkreślenie zasługuje umiejętność, z jaką Hanuszkiewicz wprowadza i wykorzystuje zespół, zwłaszcza młodych: tym razem tak liczne i tak piękne panie z Teatru Narodowego znalazły się znakomicie jako Muzy, panowie zaś świetnie bawili się fechtunkiem, a później

maskaradą, przedstawiając kilka wcieleni Słowackiego z listów: dandysa, pielgrzyma, podróżnika etc. Jest to przedstawienie bez wielkich pretensji, o wyrażnie natomiast wybijającej się nucie — swojskiej, polskiej, chwytającej za serce. Tym bardziej więc szkoda, że zabrakło w epizodach ze Swentyną i Sawą wschodniej śpiewności, że Wernyhora jest tylko ornamentem, a nie postacią, zwłaszcza, że miejsce w spektaklu można by łatwo użyć, rezygnując z łopatologicznej sceny z „Marii Stuart”, rozegranej — oddajmy sprawiedliwość — bardzo pomysłowo i z dużym wdziękiem przez Ewę Wawrzon — dla Rizzia (Andrzej Nardelli) będącą Marią, dla narratora — Ludwiką Śniadecką; zbędny wydaje się też tekst Norwida z „Czarnych kwiatów”, spektakl bowiem traci w części drugiej na zwartości i wartości. „Beniowski” na scenie Teatru Narodowego uniknął przecież niebezpieczeństw manieri rapsodycznej, wchodząc w przymierze z kabaretem poetyckim, uniknął również dobrze znanych skądinąd niebezpieczeństw teatru Hanuszkiewicza, dając pierwszeństwo poezji.

WACŁAW J. TKACZUK

Z „Beniowskiego”

Kłębami dymu niechaj się otoczę;
Niech o młodości pomarzę pół-senny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtórzuje mi znów szumiąc liść jesienny.
Na próżno serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni! — znów jestem twoim.

Patrzaj! powracam bez serca i sławy
Jak obłąkany ptak i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! — głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszalaś... w równej zawsze strojny mierze...
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

JULIUSZ SŁOWACKI